

N

Niewątpliwie różni się od współczesnego, standardowego sposobu na przeżycie swojego czasu poprzez dążenie do szczęścia. Nie chcę tego, nie prowadzę do tego, choć ludzie w moim towarzystwie zwykle mają wiele powodów do śmiechu – lubię rozmawiać w konwencji żartów. Jednak całe moje życie świadczy o tym, że wybieram taki rodzaj zachowań, generuję takie zdarzenia, które budują życie innych, mnie samą wpędzając w klimat smutku, zagrożenia, samotności. Zwykle to rodzaj silnego impulsu, który wygrywa z instynktem samozachowawczym. Takie moje impulsy nazwano kiedyś wierzgnięciem, a ja lepszego określenia nie znajduję, tylko od czasu do czasu zadaję sobie pytanie: dlaczego tak jest?

Jestem wnuczką pisarza Jana Parandowskiego, córką aktora Andrzeja Szczepkowskiego. Obaj to ludzie bardzo wiele znaczący w artystycznym świecie. W odróżnieniu od większości kolegów pochodzę z Warszawy. Wszystko to oznaczało zapewne, że ja coś mogę, że mam jakieś szczególne fory. Tak właściwie jest do dzisiaj. A przecież moje życie nie ma żadnych podgórek. I czy na pewno jestem taka wysoko urodzona? Czy tak się czuję?

Moja mama miała na imię Roma. „Poczęła się w Rzymie” – mawiała chętnie moja babcia, a mama wtedy szybko odwracała głowę. Z powodu tego Rzymu nazwano ją Roma. A ona nie była Romą. Nie lubiła tego imienia i było ono dla niej obciążeniem z dzieciństwa. Chciała być Renią, Zosią, Manią, kimkolwiek o zwykłym imieniu. Tamto nie pasowało do jej zwykłej urody i prostych potrzeb. Przeżywała mękę, kiedy trzeba było przedstawić się innym dzieciom. Myślę, że „Roma”, ten boski, antyczny Rzym i ta moja niesforna, nieantyczna mama, to jest symbol losu naszej rodziny. Nie boję się użyć tego słowa. Jest w nas wszystkich do dzisiaj coś, co mogłoby zmieścić się w antycznej tragedii. Tym obciążeniem jest dwoistość potrzeb – miotamy się między błyskotliwym życiem umysłowym a pociąganiem do prostego, anonimowego życia.

Moja ciekawość przeszłości została rozbudzona i zaspokojona przez „Zegar słoneczny” Parandowskiego. Czuje się w nim bezpieczeństwo dziecka urodzonego we Lwowie. Jest jednak pewien niedosyt, a nawet zdziwienie. „Zegar słoneczny” to przede wszystkim zapis pamięci wrażliwego dziecka. Płonąca choinka, fonograf, sennie oczy wujka Teofila, podróże po Lwowie za rękę z babką. Wszystko ciepłe, domowe, bezpieczne, osadzone w ukochanym mieście, tylko ta dominacja kobiet niepokoi. Raczej dominacja wspomnień o kobietach. Znając tę książkę od dziecka, nie potrafię nawet sformułować tego niepokoju, a może raczej nie śmiem. A jednak trudno, chociażby dla samej siebie, nie zadać pytania, dlaczego nie ma wspomnień o ojcu autora.

Moja babcia napisała książkę pod tytułem „Dzień Jana”, która miała dostarczyć wiadomości o ich wspólnym życiu, ale ta książka też jest tajemnicza. A cały wstęp do niej kończy się tak: „Zadaję sobie pytanie, w jakim stopniu ta książka spełni swoje zadanie i zadowoli czytelnika. Ja sama mam wrażenie, że nie otwaram



JOANNA SZCZEPKOWSKA

Rodowody, wychowanie, bliscy, doświadczenia, podróże. Co nas określa i stwarza? Przedstawiamy autorski wybór fragmentów najnowszej książki felietonistki „Plusa Minusa”.

na oścież drzwi, tylko uchyliłam furtkę. Nie jestem pewna, czy nie uczyniłam tego z całą świadomością”. Ale dlaczego nie „otwarta na oścież drzwi”? I co przemilczała?

Zamykam „Archiwalia” Parandowskich. Ukraiński ksiądz greckokatolicki spotkał Julcię z Mościsk i urodził się mój dziadek, Jan Parandowski.

Franciszka Szeps, Żydówka marząca o karierze aktorskiej, spotkała Hermana Helcla, żydowsko-niemieckiego przesiedleńcę, śpiewaka operowego. Urodziła się Irena, moja babka.

Jestem prawnuczką kapelusznicy, uczonego księdza i artystycznej bohemy. Jestem prawnuczką Polki, Ukrainki i Żydówki.

Mój ojciec urodził się w Suchej Beskidzkiej. To niewielkie miasteczko w okolicy Krakowa. Mój dziadek był tam naczelnikiem stacji kolejowej, a moja babka nauczycielką. Ojciec często wspominał Suchą, więc zawsze miałam wrażenie, że rodzina siedziała tam od pokoleń. Byłam nawet dumna z tego, że w moich żyłach płynie beskidzka, czyli trochę góralska krew. Wielokrotnie tłumacząc swoją zaciętość w wielu sprawach, mówiłam: „Mój ojciec jest górą”. Ja też jestem górą. Nikt tego nie dementował.

Sam Boy-Zeleński napisał we wspomnieniach: „Kogo by jeszcze wspomnieć? »Szczep« rzeźbiarz. Dziś europejski laureat, wówczas przez

całe dni modelował potężne fallusy i polichromował niczym Stare Miasto”.

Jan potem został bardzo znanym rzeźbiarzem, a spod jego dłuta wyszły też płaskorzeźby na gmachu Sejmu i w ogóle wiele dekoracji architektonicznych w Warszawie. (...) Taki wybitny, a ja wspominam o tych fallusach. Nie bez przyczyny. Nie bez przyczyny też podkreślam, że Jan w młodości był jednym z krakowskich »dzieci szatana«, czyli Stanisława Przybyszewskiego, guru ówczesnej bohemy. Bo to bardzo wpłynęło na moje życie. Tak. Gdyby Jan nie poznał się z Boyem-Zeleńskim, gdyby nie zetknął się z klimatem ówczesnej dekadencji, to może nie byłoby mnie na świecie, a jeśli bym była, to z pewnością miałabym inne doświadczenia.

– Przepraszam pana, czy tu [w Szczepkowie] może mieszka ktoś o nazwisku Szczepkowski?

Mężczyzna patrzy na mnie ze zdziwieniem. – No na przykład ja. Ja jestem Szczepkowski. Tutaj prawie wszyscy są Szczepkowsy.

Nie bardzo wiem, co mam zrobić z tą wiadomością. Rzucić mi się na szyję jak odnalezionemu bratu?

Przyglądam mu się wnikliwie, ale on nie przypomina mi ani dziadka, ani ojca. Pytam więc: Może mi pan pomóc znaleźć najstarszego Szczepkowskiego we wsi?

Wchodzę do jadalni, gdzie przy długim stole siedzi wiele starszych



osób, ale od razu, po prostu od razu wiem, który z nich to jest Ryszard.

Ta drobna postura jak u mojego dziadka, a jednocześnie siła piwnych oczu, po których widać chęć do pitki i do wybitki... Czy pan Ryszard? – pytam – bo ja też mam na nazwisko Szczepkowska i możliwe, że jesteśmy rodziną...

Mówiłabym jeszcze więcej, gdyby nie to, że pozostali jedzący nagle wstali i zaczęli podchodzić do mnie zwartą kupą. Nie było to wcale przyjemne. Otoczyli mnie z jakimś pomrukiem, który nie wróżył nic dobrego. – Rodzina? – syknęła jakaś kobie-

ta w eleganckiej sukni – a skąd pani jest?

– Z Warszawy – szepnęłam, a wtedy koło zaczęło się zacieśniać. Tylko pan Ryszard stał uroczyście wyprostowany i patrzył na mnie z ciekawością.

– Chciałabym się czegoś dowiedzieć o rodzinie... – mówiłam coraz ciszej. – Przyjechałam, żeby...

– Pani jest podobna do takiej aktorki – powiedziała jedna z kobiet – ale tylko podobna.

Nagle pan Ryszard uroczystym tonem powiedział, że zaprasza mnie do domu, i wtedy koło wokół mnie zacieśniło się jeszcze bardziej.

- Nie puścimy pani, dopóki się pani nie wylegitymuje. Niejeden już tu był i ziemi się domagał.

Tak więc po mieczu jestem z Pobogów. Jestem też z niemieckich rzemieślników. Alojzy Szczepkowski, naczelnik Kolei Galicyjskiej, spotkał Józefinę Kuczyńską, córkę lutnisty, i urodził się mój dziadek Michał. Józef Recht, śpiewak operowy, spotkał Mariannę Bryll, córkę niemieckich przedsiębiorców, i urodziła się moja babcia Helena. Jestem prawnuczką polskiego rycerza i niemieckiego osadnika. Jestem Polką, a moi pradziadkowie od ojca i od matki mówili po polsku, ukraińsku, niemiecku i w jidysz.

Pewnego dnia Leon Schiller oświadczył, że Andrzej Szczepkowski zagra główną rolę w sztuce Żeromskiego pod tytułem „Sułkowski”. (...) Roma [matka Joanny Szczepkowskiej] miała iść korytarzem i tak właśnie szła, ale widocznie zmylił ją teatralny labirynt. (...) Nagle zobaczyła wysokiego, szczupłego mężczyznę, który szybkim krokiem zmierzał w głąb tej przestrzeni. (...) Powiedziała, że się zgubiła, a on wyprowadził ją zza kulis. Wtedy dopiero zauważyła, że mężczyzna ma na sobie renesansowy kostium szekspirowskiego Olivera. Potem spotykały się codziennie. Andrzej znał już adres Romy i raniutko siadał w pobliskim parku, gdzie umawiali się na ławeczce pod drzewem.

- Roma, ten wzdychulec czeka - mówił Jan Parandowski, widząc przez okno chudego chłopaka. (...)

Nie wiem, jak mama to sprawiła, ale jednak przyszedł. Na miękkich nogach wchodził na czwarte piętro mieszkania Parandowskiego, gdzie słychać było szum rozmów najwybitniejszych osobistości. (...) Musiał bardzo silnie odczuwać uwagę, z jaką obserwowali go pisarze, skłonni do szybkich i złośliwych ocen. Tak samo uważnie obserwowały przystojnego chłopca ich żony. Wreszcie któraś z nich postanowiła się ulitować nad młodym aktorem i głośno zadała mu proste pytanie:

- Pan ma bardzo piękne włosy. Czym pan je myje? Jakkami?

- Nie, proszę pani, rękami - odpowiedział natychmiast Jędrzek.

Co się działo! Śmiech, bruderszafty, Jędrzek sypał dowiepami, fraszkami, kalamburami...

Urodziłam się 1 maja o dwunastej w południe.

Nasza kamienica to był jeden wielki bankiet. Po wojnie została oddana przez miasto ludziom teatru. Swoje mieszkania mieli tu Irena Kwiatkowska, Kazimierz Brusikiewicz, Mieczysław Wojnicki, wielka wówczas gwiazda estrady, Wanda Wermińska - słynna śpiewaczka operowa, ostatnie lata życia spędzili tu Janusz Jaroń, Władysław Grabowski, pokolenie aktorów pamiętające jeszcze Solskiego, ale mieszkali tu też teatralni fryzjerzy i inni wybitni technicy teatru, ci, którzy ocalili z wojny. Wszyscy młodzi, chętni do zakładania rodzin, ale i do zabawy. Biegali po klatce jedni do drugich, pili wódkę, plotkowali, romansowali...

Nie chciałam być pisarką. Pisarz kojarzył mi się ze starością. Przecież wszyscy przyjaciele mojego dziadka, których widywałam przy Zimorowicza na różnych jubileuszach i odczytach, na które przychodziłam z rodziną, to byli ludzie w moich oczach bardzo starzy. Skojarzenie proste: zaczniesz pisać, będziesz się starzeć. Pamiętam jubileusz Jana Brzechwy - bardzo to było uroczyste, ale on siedział taki chudy w ogromnym fotelu... Nie chciałam siedzieć w takim fotelu.

Nie chciałam być siwa jak Maria Dąbrowska.

Wracam do domu z uwagą w zeszyt: „Brak ślaczka”. Chodziło o tzw. szlaczek, czyli pasek z różnymi wzorami rysowany pod pracą domową. Nie narysowałam szlaczka, nauczycielka niezbyt ortograficznie napisała uwagę i poprosiła o podpis ojca. Pokazałam mu tę uwagę, a on napisał: „Ślag mnie trafia, ale co mam zrobić”.

W kilka minut znalazłam się na Krakowskim Przedmieściu [Marzec '68]. (...) Uderzono mnie w kark tak mocno, że przez chwilę nic nie widziałam, a potem zobaczyłam nad sobą gumową pałkę. Trzymał ją jakiś mężczyzna ubrany w czapkę z baranin futrem. Przedtem biegł obok, zupełnie jakby był jednym z nas (...).

A kordon milicji zatrzymał się przed kościołem. I ja, mimo że już pobita (dostałam drugi raz w nogę), stałam tam i patrzyłam na ten obraz: kilkudziesięciu młodych chłopaków stanęło w oczekiwaniu na decyzję dowódcy. Część uciekających schroniła się do kościoła. Czy milicjanci pokonają tę granicę?

Wreszcie musiałam powiedzieć ojcu, że zdaję do szkoły teatralnej. Nie, nie dostałam pasem, ale postanowił się przejść, a potem powiedział, że wieczorem, kiedy wróci z teatru do domu, chce ze mną porozmawiać. (...) „Będziesz czwartą żabką w bajkach, chcesz tego?”. Dobrze pamiętam tę „czwartą żabkę”, a pytanie, czy tego chcę, zadałam sobie wiele razy po tej rozmowie. Chcę! Oczywiście, że chcę grać czwartą żabkę. Doskonale wiedziałam, czego chcę. Chcę grać po prostu.

[Na egzaminie] Zdążyłam się tylko przedstawić i wtedy siedzący pośrednik komisji rektor szkoły Tadeusz Łomnicki nagle wstał, przeprosił wszystkich i wyszedł. Trudno było pozostałym ukryć konsternację. Nie tylko on zresztą zachował się nieprzyjaźnie. Profesor Bardini, jeden z największych autorytetów pedagogicznych, pokreślił się na krześle i demonstrował niechęć do boku, dając jakby do zrozumienia, że ta kandydatka go nie interesuje.

Okazało się, że umiem i lubię się uczyć. A było od kogo. Tadeusz Łomnicki, Jan Świdorski, Zbigniew Zapasiwicz, Janina Romanówna, Aleksandra Ślaska. Byłam tak przejęta każdym zadaniem, każdą sceną, że nie spałam po nocach, a mimo to budziłam się wyczerpana. Prawdę mówiąc, miałam fioła na punkcie tych scen, tego ćwiczenia się w graniu.

Według plotek i różnych opracowań mojej sylwetki na planie filmu „Con amore” poznałam swojego przyszłego (teraz już byłego) męża, Mirka Konarowskiego. I jak to w plotce, była to oczywiście wielka miłość, choć trochę zaskakująca - przecież zupełnie nie pasowaliśmy do siebie, a na planie tego filmu myśmy się w ogóle nie znali...

Debiut w sztuce „Jan Gabriel Borkman”. Mam zagrać Fridę - młodziutką dziewczynę, domniemaną córkę bohatera dramatu; jedna duża scena w całej sztuce. (...) W skupieniu podchodzę do drzwi, w których mam się ukazać na scenie. Drzwi otwierają się, mówię pierwsze słowa i nagle... rozlegają się brawa. Przez chwilę byłam pewna, że dotyczą czegoś, co dzieje się poza mną. Mówię więc kolejne zdania i znowu słyszę brawa, i jakiś niezwykle życzliwy pomruk publiczności. Tak dzieje się przez całą scenę. Wychodzę, a brawa po wyjściu słyszę jeszcze na schodach. Garderobiana już na mnie czeka,

ciesz się, przytula, a ja nic nie rozumiem. Jedyne, czego spodziewałam się po tym występie, to satysfakcji, że tu jestem...

Świdorski podchodzi do mnie naprawdę wściekły. Ja jednak wiem, że jeśli ulegnę jego estetyce, to w jakimś sensie przepadłam. Dla siebie przepadłam. (...)

- Musi pan mnie wymienić. Musi pan, panie profesorze, wziąć inną aktorkę. Ja się nie uśmiechnę.

- Już za późno, żeby wziąć kogoś innego. To, co robisz, to jest szczyt bezcelności.

Odpowiedziałam wtedy:

- A to, co pan proponuje, to szmira. (...)

Pamiętam, jak po moich przeprosinach powiedział tylko:

- Zwycięzcy zawsze mają rację. Świetnie to grasz, jesteś zwyciężcą.

Nigdy ani przedtem, ani potem tak głupio się nie czułam.

Po „Trzech siostrach” zaczęły się nieustanne propozycje z Teatru Telewizji. Piszę „nieustanne”, bo nie było miesiąca, żeby nie dzwonił do mnie jakiś reżyser czy ktoś obsadzający spektakle telewizyjne. Na początku nie były to główne role, ale ja do każdej podchodziłam jak do ogromnego wyzwania. Nie przesadzę, jeśli napiszę, że kochałam każdą z tych postaci. Z pewnością było tak w wypadku roli córki Horodniczego w „Rewizorze” Gogola z Łomnickim w głównej roli, z pewnością tak było w wypadku Zośki w „Niespodziance” Rostworowskiego, a potem Muszki ze „Skizy” Zapolskiej.

Na naszej ulicy zaczęły gromadzić się ciężarówky z wojskiem i zomowcami. Niedługo potem tutaj właśnie, na skrzyżowaniu Miodowej i Długiej, rozgrywały się bitwy między warszawiakami a ZOMO. Strzały, gaz łzawiący, pałki, szamotanina. Mieszkaliśmy na tyle wysoko, że gaz do nas nie dochodził, ale odgłosy wybuchów słychać było wyraźnie. (...) Nagle zobaczyłam z okna, jak ludzie uciekają na nasze podwórko. (...) Udało się wpuścić do mieszkania wszystkich. Ludzie kaszleli, walczyli z brakiem oddechu, a przede wszystkim ze szczypiącymi łzami, które zalewały oczy i sprawiały ból. Zaparzyłam szybko herbatę i zrobiłam łagodzące okłady. Nie było krzesła dla wszystkich, więc ludzie kładli się na podłodze.

Pojechałam do Krakowa przekonana, że spotkanie wyborcze Jana Rokity odbędzie się w krakowskich nobliwych murach. Ubrałam się więc odpowiednio nobliwie. Z dworca wzięli mnie dziwnie długo aż do ogromnej hali, skąd wydobywały się okrzyki dalekie od patriotycznej atmosfery. Grupy młodych ludzi, którzy kręcili się niedaleko, też nie kojarzyły się z wyborcami.

- Gdzie my jesteśmy? - zapytałam organizatora.

- Na koncercie rockowym Lecha Janerki - odpowiedział.

Miałam miękkie nogi. Ta moja sukienka... Przydługa, szara, a na szyi jakieś sztuczne perełki...

- Ma pan pasek? - zapytałam organizatora. - Potrzebny mi pasek.

Musiałam mieć bardzo zdecydowany głos, bo bez pytania zdjął pasek od spodni. Podciągnęłam sukienkę i związałam tym paskiem. Zerwałam perły. Weszłam na estradę, zdecydowanym ruchem chwyciłam stojący mikrofon i przechyliłam go na bok:

- Chcecie być wolni?

- Taaaak!

Joanna
Szczepkowska
„Kto ty jesteś.
Początek sagi
rodziny”

Czerwone i czarne,
Warszawa 2014

